

Ewa JABŁOŃSKA-DEPTUŁA

PRZYCIĄGAŁ AUTENTYCZNOŚCIĄ SWEGO CZŁOWIECZEŃSTWA...

Nie potrafię ocenić dorobku naukowego profesora Tomasza Strzembosza, gdyż brak mi dostatecznych kompetencji. Moją specjalnością jest kultura religijna okresu rozbiorów i międzywojnia. Tomka poznałam, gdy zaproszony przez prof. Jerzego Kłoczowskiego rozpoczął pracę na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, najpierw – od 1976 roku – przyjeżdżając z Warszawy na zajęcia zlecone. Habilitację uzyskał na naszym uniwersytecie w roku 1982. W czasie jego wykładów (podobnie jak wcześniej w przypadku wykładów Władysława Bartoszewskiego) sale były oblegane. Studenci w latach osiemdziesiątych i na początku dziewięćdziesiątych byli zgłodniałymi obiektywnej wiedzy o czasach wojenno-okupacyjnych. Ale nie tylko to przyciągało do osoby Tomasza Strzembosza. Oprócz rzetelnej wiedzy, przekazywanej w bezkompromisowy sposób, wzbogaconej o wiele nieznanych dotychczas ustaleń – przyciągała sama jego osobowość. Czuło się, że jest to człowiek wolny, niezwiązany z żadnymi układami politycznymi, człowiek, który o nic dla siebie się nie ubiega i nie kłania się nikomu. Dotyczyło to zarówno tak zwanego minionego okresu, jak i lat przeobrażeń.

Gdy uzyskanie habilitacji pozwoliło mu na samodzielne prowadzenie seminarium, zaczęły się pojawiać prace pisane pod jego kierunkiem. Dotyczyły one nie tylko ruchu oporu podczas wojny w strefie okupacji niemieckiej, ale przede wszystkim zupełnie niedotkniętego, a raczej gruntownie przekłamanego tematu – inwazji radzieckiej na Polskę i jej dramatycznych długotrwałych skutków. Tomasz musiał płacić za próby podjęcia tak niedogodnego tematu, jak organizowanie się walki zbrojnej na tych terenach, a płacił za to brakiem awansów i trudną sytuacją w Instytucie Historii Polskiej Akademii Nauk.

Powoli zyskiwał uczniów. Nasza bliższa znajomość datuje się od momentu, gdy pierwsi seminarzyści złożyli prace magisterskie. I tutaj również musiał płacić, chociaż wydawało się, że na naszej uczelni sprawy powinny się przedstawiać inaczej. Potrzebni byli recenzenci prac, a na KUL-u, wśród kolegów specjalistów z dziedziny historii najnowszej, Tomasz nie zyskał życzliwości –

obawiano się wręcz, że stanie się ich konkurentem. To właśnie mnie zatem przypadło w udziale recenzowanie prac pisanych u Strzembosza. Mimo że odbyłam z nim wiele rozmów merytorycznych, nie zdarzyło mi się usłyszeć od niego narzekań na temat jego nietypowej sytuacji na naszej sekcji. Nie zniżał się do podejmowania jakichkolwiek zabiegów mających na celu poprawienie swojej pozycji – nie utyskiwał, tylko robił swoje.

Niezwiązany żadnymi układami uniwersyteckimi – pozostał wolny. Od początku dostrzegali to jego słuchacze. Był wolny zarówno jako człowiek, jak też jako naukowiec. Jak już wspomniałam, płacił za to wysoką cenę, ale dzięki temu miał też możliwość przedstawiania prawdy historycznej bez kamuflażu czy niedomówień. I to również niemal natychmiast po jego pojawieniu się na uniwersytecie docenili młodzi słuchacze. Na seminarium magisterskie nie był w stanie przyjąć wszystkich, którzy się na nie zgłosili.

Co mogę powiedzieć o nim jako naukowcu? W poszukiwaniach i ustaleniach był pionierem. Z trudem musiał odnajdować ludzi, którzy mogli złożyć jeszcze jakieś świadectwa. Mozolnie zdobywał ich zaufanie i przełamywał barierę lęku. Dotyczyło to nie tylko byłych AK-owców, ale w znacznie większym stopniu badań dotyczących strefy okupacji radzieckiej. Do czasu rozpoczęcia przez niego badań opór zbrojny na tym terenie był tematem tabu, którego nikt nie śmiał tknąć. Wydaje się, że gdyby profesor Strzembosz nie podejmował tych usiłowań, dzisiaj wiele faktów byłoby już nie do odtworzenia. Cechowała go rzetelność w poszukiwaniu prawdy, bez względu na to, czy była ona wygodna, czy nie. Zawdzięczamy mu też całościowe opracowania, takie na przykład, jak jego książka o polskim państwie podziemnym *Rzeczpospolita podziemna. Społeczeństwo polskie wobec państwa podziemnego 1939-1945*². Kilkakrotnie się nią posługiwałam, starając się o medal „Sprawiedliwy pośród narodów świata” dla mojej Matki. Obawiałam się opierać swojej relacji tylko na własnej pamięci, dotyczącej okoliczności zewnętrznych, w które skądinąd, będąc podczas wojny dzieckiem, nie do końca byłam wtajemniczona. Miałam głębokie przeświadczenie, że Tomasz był zawsze gotów do służenia radą w dokonywaniu ustaleń.

W kwietniu tego roku, wiedząc już o jego trudnościach z oczami (stopniowo tracił wzrok), z dużą nieśmiałością zwróciłam się do niego o pewne doprecyzowania dotyczące osób pracujących w Biuletynie Informacji Publicznej. Miało to mi pomóc w ustaleniu bliższych okoliczności śmierci mojej Matki.

Stała się rzecz, która nie tylko przerosła moje oczekiwania, ale wprowadziła mnie w zdumienie i w jeszcze głębszy podziw, niż ten, który dotąd żywiłam wobec Tomasza. Po kilkunastu dniach otrzymałam wyczerpującą odpowiedź na kilku stronach napisanych pismem odręcznym. Był już bardzo chory i zakończył swój list, pisząc, że uczy się żyć bez żołądka. Ta konstatacja była dla

² Wydawnictwo Krupski i S-ka, Warszawa 2000.

mnie całkowitym zaskoczeniem, gdyż nic nie wiedziałam o jego chorobie nowotworowej. Wykonał wobec mnie głęboko ludzki gest. Uczynił to bardzo już znękanymi swoimi dolegliwościami. Ostatni raz widziałam Tomasza w telewizji, gdy odbierał honorowe obywatelstwo Jedwabnego. Bardzo był słaby, a jego wygląd świadczył o tym, że niedługo osiągnie metę swego życia.

Fakt, że przesłał mi informacje, o które prosiłam, w czasie, gdy sam zmagał się ze śmiertelną chorobą, świadczy o tym, że do końca pragnął służyć innym swoją wiedzą, pokazuje także jak ważne było dla niego pochylenie się nad każdym, kto go w jakiś sposób potrzebował. W okresie, gdy prowadził zajęcia na KUL-u, rzecz się miała podobnie. Dużo czasu i uwagi poświęcał swoim magistrantom, a następnie również doktorantom, czyniąc to z wielkim zaangażowaniem. Postawa ta jednała mu studentów ujętych nie tylko sposobem przedstawiania pasjonującej ich tematyki, w zakresie której wraz ze swoim profesorem byli pionierami, ale właśnie tym, że poświęcał im tyle czasu. Porывał ich bowiem tą swoją postawą i to dopingowało ich do wysiłku.

Można powiedzieć, że stworzył szkołę posługiwania się wywiadem jako źródłem historycznym. Wymagał bardzo dokładnej weryfikacji faktów, zdarzało się, że połączonej ze sprawdzaniem ich w terenie. Mniej natomiast wagi przywiązywał do formalnych wymogów stawianych rozprawom magisterskim. Nieco drugorzędną kwestią była dla niego na przykład forma zapisu bibliograficznego czy usterki, jakie w tym względzie popełniał student. Nad wszystkim górę brała pasja badawcza.

Nie mam niestety pełniejszego obrazu tego, czy dokonania jego uczniów stanowią liczący się dorobek naukowy. W poszerzeniu zakresu badań przeszkodził Tomaszowi brak własnej katedry i możliwości zatrudnienia asystentów, a następnie adiunktów, z którymi mógłby podjąć pracę zespołową. Nie zdarzyło mi się słyszeć jego utyskiwań na ten temat. Co więcej – potrafił zmieniać tematykę swoich zainteresowań. Gdy problematyka AK-owska i tematyka struktur państwa podziemnego przestały być objęte bezwzględną cenzurą i znalazło się więcej badaczy – Tomasz zaczął zajmować się kwestiami dotyczącymi terenów okupacji radzieckiej. Nie składał przy tym żadnych deklaracji. Po prostu działał w tym kierunku, który uważał za potrzebny czy wręcz niezbędny. Był człowiekiem wolnym i sam decydował, czym ma się zajmować. Imponujące były jego rzetelność badawcza i dokładność. W jego pracach nie było tak zwanego uczonego wodolejstwa. Zaczynał od ustalenia podstawowych, bezspornych faktów, aby później iść w kierunku przedstawienia pewnych procesów. Odejście profesora Strzembosza jest wielką stratą dla nauki polskiej także dlatego, że nie zostawił zwartej grupy kontynuatorów, których wysiłki by się wzajemnie uzupełniały i którzy mogliby podjąć wspólne badania. Garstka doktorów Tomasza rozproszyła się, a po utracie mistrza niewielkie ma szanse na zespolenie. Nie zostawił żadnego samodzielnego pracownika nauki.

Tomasz był mistrzem. Przyciągał brać studencką nie tylko swoją wiedzą i pasją naukową, ale autentycznością swego człowieczeństwa. Bezsprzecznie był dla niej wzorcem. Jego dobroć promieniowała swoistym ciepłem. Prezentował też doskonale maniery, co nie było sprzeczne z pewną spontanicznością zachowań. Emocje ujawniał zwłaszcza wówczas, gdy mówił o czymś, co do czego był do głębi przekonany. Nad wieloma sprawami bolał. Mocno na przykład przeżył sprawę niszczenia archiwów ubeckich. Był świadomy, że niektórych kwestii nie da się już odtworzyć.

Znaliśmy go też jako znakomitego gawędziarza, obdarzonego wielkim poczuciem humoru i paradoksu. Nie znam bliżej jego działalności harcerskiej, ale sądzę, że te cechy charakteru musiały mu bardzo ułatwiać kontakty z młodzieżą. Sądzę też, że w krótkim czasie potrafiła ona również docenić jego bezwzględną prawość i bezkompromisowość, gdy chodziło o sprawy zasadnicze. Sprawiało to, że i dla tych o pokolenie młodszych – czy wręcz dzieci – mógł być mistrzem.

Tomasz miał w sobie jakiś magnes przyciągający, który tkwił w jego wnętrzu. Jego aparycja mogła mylić, gdyż było w niej nieco surowości. Wystarczył tylko trochę bliższy kontakt, aby można było dostrzec jego bezsprzeczny urok osobisty. Był znakomitym rozmówcą, ale i niełatwym dyskutantem. Potrafił przekonywać i bronić swoich racji. Rozmawiając z nim, wyczuwało się jego głęboką prawość i niezatrzymywanie się na własnej osobie. Nie czuł się dotknięty, jeśli rozmówca miał odmienne od niego zdanie, zwłaszcza wówczas, gdy nie chodziło o imponderabilia. Bardzo lubiłam z nim dyskutować, chociaż nie zawsze zgadzaliśmy się w kwestiach politycznych. Posiadał dużą wiedzę, a także to, co potocznie określa się mianem wiadomości. Można było dowiedzieć się od niego wielu interesujących rzeczy albo otrzymać „oświecenie” odmienne od tego, które się posiadało.

Uczestnicząc w pogrzebie Tomasza i patrząc na harcerską młodzież, tak licznie przybyłą i towarzyszącą mu w ostatniej drodze w sposób dyskretny i poważny, przeżyłam głęboką ulgę, dowiedziawszy się, że rodzina nie życzyła sobie żadnych przemówień nad grobem. Obawiałam się zarówno wyliczanki faktów z jego życia, jak i tego, że ludzie z różnych kręgów nagle zaczną się do niego „przyznawać” i zawłaszczać jego osobę. Harcerskie pożegnanie na trąbce, śpiew *Sadźmy róże*, krótkie słowo Ryszarda Kaczorowskiego (ostatniego prezydenta RP na emigracji), a także zwięzłe, ale jakże głębokie podziękowanie brata – Adama Strzembosza – utwierdziły mnie w przekonaniu, że i tam – na Powązkach – Tomasz pozostał wolny. Całym swoim życiem świadczył o tym, jak pięknie i bez zbędnych słów realizować prawo harcerskie, za co nieustannie przychodziło mu płacić. Fakt ten uważał za naturalną cenę wolności. Tam, na cmentarzu, nasunęły mi się dwie myśli.

Tomasz w swoich zaangażowaniach spinał przyszłość z przeszłością. Badał przeszłość i zajmował się formacją młodzieży. Był istotnym ogniwem łączącym

dzień wczorajszy i jutrzejszy. Przekazywał też najmłodszemu pokoleniu to, co było ważne w przeszłości i co było istotą naszego trudnego trwania.

Druga myśl dotyczyła wolności, a właściwie tego, co na jej temat napisał Karol Wojtyła w poemacie *Myśląc Ojczyzna...*:

Całym sobą płacisz za wolność – więc to wolnością nazywaj,
że możesz płacąc ciągle na nowo siebie posiadać.
Tą zapłatą wchodzimy w historię i dotykamy jej epok:
Którędy przebiega dział pokoleń między tymi, co nie dopłacili,
a tymi, co musieli nadpłacać? Po której jesteśmy stronie?³

³ K. Wojtyła, *Myśląc Ojczyzna...*, w: tenże, *Poezje i dramaty*, Wydawnictwo Znak, Kraków 1979, s. 88.